

Jak z uporem maniaka szukałam szczęścia  
i nieoczekiwanie je znalazłam

# Ktoż



JAK  
NIE

BÓG



*Jennifer Fulwiler*

**FRONDA**

TOP 20  
bestseller  
amazon.com

Ktoż

JAK  
NIE

BÓG

Ktoż

JAK  
NIE

BÓG

Z angielskiego przełożyła  
*Maria Jaszczurowska*

*Jennifer Fulwiler*

FRONDA

Tytuł oryginalny  
*Something Other Than God. How I Passionately Sought Happiness  
and Accidentally Found It*

Okładka i strony tytułowe  
Anna Kierzkowska

Ilustracja na okładce  
kevron2002/depositphotos

Redaktor prowadzący  
Bartłomiej Zborski

Redakcja i korekta  
Hanna Śmierzyńska

Skład i łamanie  
TEKST Projekt Łódź

Copyright © 2014 by Jennifer Fulwiler  
Copyright © by Ignatius Press, San Francisco, 2014. All rights reserved  
Copyright © for the Polish translation by Maria Jaszczurowska  
Copyright © for the Polish edition by Fronda PL, Sp. z o.o. All rights reserved.

ISBN 978-83-64095-92-4

Wydawca  
Frona PL, Sp. z o.o.  
ul. Łopuszańska 32  
02-220 Warszawa  
tel. 22 836 54 44, 877 37 35  
faks 22 877 37 34

e-mail: [fronda@fronda.pl](mailto:fronda@fronda.pl)  
[www.wydawnictwofrona.pl](http://www.wydawnictwofrona.pl)  
[www.facebook.com/FronaWydawnictwo](http://www.facebook.com/FronaWydawnictwo)

*Wszystko, co nazywamy historią ludzkości (...) to długa,  
straszliwa historia człowieka szukającego poza Bogiem czegoś,  
co przyniosłoby mu szczęście\*.*

C.S. Lewis

---

\* Ten i następne cytaty wg Clive Staples Lewis *Chrześcijaństwo po prostu* przełożył Piotr Szymczak.



# PODZIĘKOWANIA

W ciągu sześciu lat, które poświęciłam na napisanie tej książki, Bóg postawił na mojej drodze wiele niesamowitych osób. Pierwszą z nich jest, rzecz jasna, mój mąż Joe. Pomógł mi tworzyć kolejne wersje książki, zajmował się dziećmi, gdy ja pracowałam, i nie bał się pisać na marginesach komentarzy w stylu „Z tego akapitu wynika, że jesteś szalona”. Dzięki niemu życie wydaje się bardziej zabawne.

Mama Joe, Lou Fulwiler, oraz moi rodzice, Pam i Don Bishop, też dołożyli starań, by pomóc mi dotrzymać uzgodnionych terminów – nie wspominając już o tym, że bezinteresowna miłość, jakiej od nich doświadczyłam, stała się początkiem drogi, która doprowadziła mnie do Boga.

Mój wspianały agent, Ted Weinstein, jest dla mnie niczym osobisty trener, zmuszający mnie do wysiłku i pozwalający mi odkryć granice możliwości. Niszczy mi życie, ale bardzo mi się to podoba. Zespół w wydawnictwie Ignatius Press nie przestaje mnie zadziwiać swoją wytężoną pracą i poświęceniem – jestem

im wszystkim niezmiernie wdzięczna za to, że wierzyli w ten projekt.

Zaszczycem i przyjemnością dla mnie była współpraca z panią redaktor Jane Rosenman.

Hallie Lord również zasłużyła na to, by ją wymienić na okładce, w podziękowaniu za długie godziny spędzone razem ze mną nad tą książką (przede wszystkim na słuchaniu moich dylematów pisarskich). Błogosławieństwem są dla mnie też przyjaciele, tacy jak Nancy Mohn Barnard, Abigail Benjamin, Melanie Casal, Brendan i Cat Hodge, Lori Keckler, Grace Patton, Frank i Patti Scofield, Dorian Speed, ojciec Michael Sullivan, oraz mój kuzyn, brat Claude Lane – dziękuję im wszystkim za modlitwę, wsparcie i mądre słowa.

Nie wyszłabym poza rozdział pierwszy, gdyby nie pełna miłości pomoc i życzliwe wsparcie Rachel Hebert, Irmy Campos, Delii Stinson, Ellen i Victorii Hebert, Gabi i Marleny Borrero, Hanny i Katie Villarreal, Annie Scofield i Abby Brooks.

Nonę Aguilar, Cindy Cavnar, Berta Ghezzi i Patricka Madrid uważam za moich literackich rodziców chrzestnych – dziękuję za zachętę i liczne okazje, które mi stworzyli. W szczególny sposób chcę podziękować Kevinowi Knightowi, który pomógł mi znaleźć adresatów mojej powieści.

Chciałam też wyrazić głęboką wdzięczność wobec Raymonda Arroyo, ojca Jamesa Martina, Tuckera Maxa i Gretchen Rubin, którzy w swej uprzejmości proponowali mi pomoc w tym projekcie na samym jego początku, oraz wobec Amy Welborn, Brandona Vogta, Dorian Speed, Arthura Nielsena, Leili Miller i Nony Aguilar za to, że poświęcili swój czas na przeczytanie mojego rękopisu i podzielili się ze mną cennymi, konstruktywnymi uwagami.

Tom Wehner, Dan Burke, Jeanette DeMelo oraz pozostałe osoby z redakcji „National Catholic Register” okazały mi także



wielkie wsparcie, kiedy potrzebowałam wziąć wolne, by pracować nad książką lub iść na urlop macierzyński (a czasami robiłam obie te rzeczy naraz).

Uwielbiam czytelników mojego bloga – ich wieloletnie wsparcie wzrusza mnie i napełnia podziwem. Chciałabym każdemu z nich podziękować z osobna.

Nasza rodzina ma ogromne szczęście, że otacza ją radosna, pełna wiary wspólnota parafii św. Wilhelma; w szczególności mówię o Noe Rocha, ojcu Deanie Wilhelmie, ojcu Uche Andeh oraz ojcu Alberto Borruełu, ojcu Joelu McNeilu i ojcu Jonathanie Raia.

Dziękuję moim dzieciom za zrozumienie, kiedy godzinami wpatrywałam się w ekran komputera, i za to, że w ogóle są niesamowite. Bycie matką takich ludzi uważam za niebywały zaszczyt.

Dziękuję też, oczywiście, Bogu, ponieważ jest On źródłem wszystkiego, co dobre. Nigdy nie zapomina o żadnej ze swych owieczek, nawet tych, które są bardzo zagubione.



# PRZEDMOWA DO POLSKIEGO WYDANIA *KTÓŻ JAK NIE BÓG?*

Wkrótce po tym, jak ukazała się angielska wersja książki *Któż jak nie Bóg?* i nasza rodzina oraz przyjaciele zabrali się za czytanie, razem z Joem zaczęliśmy otrzymywać pytania na temat naszego życia, które opisałam w książce. Jednym z najczęściej powtarzających się pytań było:

*Czy odkąd jesteś katoliczką, twoje życie stało się lepsze?* Przypadkowemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że wymieniliśmy swobodę i wolność na życie pełne ograniczeń, jakie nakładają zalecenia Kościoła katolickiego. Znajomi zastanawiali się, jak możemy być szczęśliwi, skoro *dołożyliśmy sobie* tyle zakazów.

Zanim przeszliśmy przez cały proces nawrócenia, sami przestrzegaliśmy w ten sposób życie zgodnie z naukami Kościoła katolickiego. W młodości, kiedy prowadziliśmy życie bez Boga, poszukiwaliśmy głównie sposobu na dobre życie i wydawało nam się, że go odnaleźliśmy. Jednak nawet wtedy towarzyszyło nam poczucie pustki. Nie potrafiliśmy jednak przyznać, że

doświadczamy pustki – byliśmy przekonani, że robimy wszystko jak trzeba i nie przyszło nam do głowy, by zadać sobie pytanie, czy naprawdę czujemy się spełnieni. Pustka jednak wciąż kazała nam nie ustawać w biegu, niczym marchewka zwisająca na patyku przed naszymi nosami. Zawsze znalazła się „jeszcze jedna” rzecz, którą musieliśmy mieć, zrobić, osiągnąć, a *potem* odpoczniemy, *potem* będziemy szczęśliwi. Ale zawsze było jeszcze coś.

Wkładaliśmy większość energii w rozmyślanie o sobie. Nasze cele kręciły się wokół poprawy własnego komfortu i poczucia szczęścia. Stworzyliśmy sobie życie, które przypominało muzeum: wszystko było piękne i uporządkowane, a innych ludzi trzymaliśmy na bezpieczną odległość, żeby nic nam nie zepsuli w świecie, który tak pieczołowicie układaliśmy.

W muzeum jednak wszystko jest martwe. I nasze muzeum też zaczynało przypominać kryptę.

Nigdy nie patrzyłam na *Któż jak nie Bóg?* jak na historię o nawróceniu; wolę myśleć, że ta książka jest historią dwojga ludzi, którzy szukali prawdziwego szczęścia i w końcu je znaleźli. W tej opowieści Joe i ja odkryliśmy, że aby być szczęśliwym, nie trzeba przez cały czas myśleć o tym, jakie wakacje, rzeczy czy jaka praca przyniosłyby człowiekowi największą satysfakcję; w rzeczywistości, aby być naprawdę szczęśliwym, w ogóle nie trzeba myśleć o sobie. Droga do szczęścia wiedzie przez miłość, a prawdziwa miłość oznacza otwarcie się na Boga i na ludzi w sposób zdecydowany i jak najbardziej osobisty.

Zbliżając się coraz bardziej do Kościoła katolickiego, zaczęliśmy zauważać, że wszystkie przewidziane przezeń zasady nie są ograniczeniami naszej wolności, lecz raczej receptą na życie pełne miłości. Im dokładniej przestrzegaliśmy wytycznych, które dał nam Bóg w swoim Słowie i swoim Kościele, tym większe mieliśmy poczucie, że oto otwieramy wrota, przez które do naszego życia wlewa się miłość.

Kiedy przyjęliśmy wiarę katolicką, nasza rodzina doświadczyła żywej eksplozji: zaczęliśmy postrzegać dzieci jako dar, nie ciężar. Nie tylko mieliśmy więcej dzieci, lecz zaczęli nas otaczać ludzie z naszej parafii, z diecezji i z Kościoła na całym świecie. Nasz nowy dom na przedmieściach nagle stał się miejscem, w którym wciąż coś się działo. Po domu kręciły się dzieci, odwiedzali nas przyjaciele albo sąsiedzi – w naszym dawnym życiu, uporządkowanym niczym muzeum, nic takiego by się nie wydarzyło.

Nasze nowe życie jest głośnie. Chaotyczne. Panuje tu bałagan. Mam więcej pracy niż kiedykolwiek do tej pory. Żałuję, że poprzedni właściciel naszego domu wyłożył podłogi jasnymi dywanami. Nigdy jednak nie zatęskniliśmy za naszym dawnym życiem. Ani razu. Kiedy przypominam sobie, jak dawniej żyliśmy, nie widzę ani śladu wolności, lecz tylko błędzące drogi dwojga ludzi uwięzionych w labiryncie egoistycznych pragnień. Widziałam dwoje ludzi, którzy chcieli dobrze, ale nie umieli kochać ani siebie, ani innych.

Droga, którą podążaliśmy przed naszym nawróceniem, jest ścieżką często wybieraną przez ludzi tutaj, w Ameryce – podejrzewam, że w Polsce też już tak jest. Moje nawrócenie nie było czymś popularnym – wręcz przeciwnie, szłam pod prąd. Odnalazłam Boga w czasie, gdy moi sąsiedzi i rodacy tracili wiarę. Modłę się, by historia mojego doświadczenia stała się inspiracją dla moich polskich braci i sióstr, których także ze wszystkich stron otacza kultura mówiąca nam, że wolność i szczęście można zyskać, kiedy przestanie się szukać Boga i zacznie podążać za własnymi przyjemnościami.

To samo pytanie zadano mi po raz kolejny w tym tygodniu, kiedy mój długoletni przyjaciel zapytał mnie, czy moje życie jest lepsze, odkąd przystąpiłam do staromodnego, skostniałego Kościoła katolickiego. Wszystkie moje wspomnienia

przemknęły mi przed oczami. Pomyślałam o radości, śmiechu i miłości, które stały się częścią mojego życia, odkąd należę do tego Kościoła. Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak ciekawe i barwne stało się moje życie w porównaniu z tym, jak wyglądało kiedyś. Odpowiedziałam:

Tak, moje życie jest lepsze – o wiele lepsze – odkąd dołączyłam do Kościoła katolickiego. Sama odpowiedź jednak nie oddaje w pełni moich odczuć. Źle się wyraziłam, mówiąc, że moje życie stało się *lepsze*, od kiedy stałam się katoliczką; powinnam raczej powiedzieć, że odkąd jestem katoliczką, moje prawdziwe życie dopiero się *rozpoczęło*.

# I.

Nasza opiekunka na obozie letnim East Texas podeszła do nas żwirową ścieżką i zadała nam pytanie, czy chcemy przyjąć do serca Jezusa. Opiekunka podchodziła do każdej z dziewcząt, więc miałam nadzieję, że zdążę wymyślić lepszą odpowiedź niż „nie”. Na szczęście siedziałam na samym końcu długiego stołu, przy którym zajęłyśmy miejsca jedna obok drugiej. Opiekunka jednak nie traciła czasu.

Stanęła przed moją przyjaciółką, Jessiką, która przyjechała na obóz razem ze mną i ze sporą grupą piątoklasistek z naszej okolicy. Jessica jako jedna z nielicznych pochodziła z rodziny niebywającej na niedzielnych mszach, więc tym bardziej interesowało mnie, co będzie miała w tej sprawie do powiedzenia. Byłam pewna, że wyjdzie przed szereg i powie tej maniaczce religijnej, żeby się odczepiła.

Opiekunka, do której zwracaliśmy się, używając jej ksywki „Tippy”, wzięła głęboki oddech, po czym zwróciła się do Jessiki, kładąc jej dłonie na kolanach, tuż poniżej brzegu kwiecistych szortów.

- Jessika - powiedziała. - Jessika, czy chcesz przyjąć Jezusa Chrystusa i uznać Go za twojego Pana i Zbawiciela?

Wszystkie pozostałe dziewczyny pochyliły się, słuchając uważnie. Jessica spojrzała na nas, a następnie na Tippy. Zaczęła coś mówić, ale zająknęła się tylko. Kiwnęłam głową ze współczuciem. To nie będzie łatwe.

- Ja... ja... Tak! Jestem gotowa! Chcę, by Jezus był Panem mojego życia! - krzyknęła. Pozostałe dziewczęta zaczęły piszczeć i klaskać w dłonie, po czym obskoczyły Jessikę, ściskając ją i poklepując po plecach. Po chwili wszystkie spojrzały na mnie.

- Jenny - odezwała się Tippy. Radosne piski pozostałych dziewcząt ucichły. Najwyraźniej czekały na kolejne zwycięstwo. - Spójrz mi w oczy, Jenny.

Podniosłam głowę. W oczach opiekunki dostrzegłam pełen emocji blask; widziałam, że zadrżał jej podbródek.

- Jenny, czy jesteś stuprocentowo pewna, że po śmierci pójdziesz do nieba?

- Hmm, to poważne pytanie... - próbowałam grać na czas. Wierciłam się nerwowo, czując na sobie spojrzenia pozostałych uczestniczek obozu. Choć w tej chwili nie była to dla mnie specjalna pociecha, przypomniałam sobie reklamę obozu Pine Grove, która głosiła, że nie trzeba być chrześcijaninem, by wziąć w nim udział - właściwie był to jedyny powód, dla którego moi rodzice zgodzili się mnie tu puścić. Na przyciągających wzrok ulotkach rozdawanych w szkole przez moich znajomych, widziałam tylko kolorowe zdjęcia uśmiechniętych młodych ludzi jeżdżących konno lub na nartach wodnych. Broszurka nie wspominała ani słowem o indoktrynacji religijnej.

- Czy Pan przemówił do twojego serca? - dopytywała się Tippy.

Pytanie zabrzmiało tak dziwnie i wieloznacznie, że nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć. Byłam pewna, że mówiąc



o „Panu” ma na myśli Jezusa, czyli gościa, który dawno temu żył na Bliskim Wschodzie, ale z drugiej strony mogła też odnosić się do Boga, który był niewidzialnym bytem i mieszkał w niebie. Niełatwo było się połapać w tajnikach tej ich mitologii. W dodatku nie miałam pojęcia, o co chodzi z tym przemawianiem do serca. Chciałam zasugerować, by na drugi raz Pan zwracał się raczej do moich uszu, ale miałam przeczucie, że to nie jest najlepszy moment na żarty.

– Och, hmmm, w zasadzie to nie jestem pewna... – zaczęłam. Odwróciłam wzrok, spoglądając ponad ramieniem Tippy na wysokie drzewo pekanowe.

– Czy chcesz być zbawiona?

– Widzisz, ja...

Opiekunka stanęła przede mną. – Jeśli nie będziesz zbawiona, nie pójdziesz do nieba. Skończysz w piekle. Na zawsze. Nie chcesz chyba iść do piekła, prawda, Jenny?

Kolejne trudne pytanie. Potrzebowałam więcej informacji o tym miejscu, żeby podjąć świadomą decyzję. Nie wierzyłam w niebo ani w piekło, ale nawet gdybym miała udawać, że wierzę, nie byłam przekonana, czy piekło na pewno jest takie złe. Kilka wierzących osób zapewniało mnie, że ja i moja rodzina z pewnością tam pójdziemy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to okropne miejsce, ale na razie wiedziałam tylko, że w piekle nie spotkam takich ludzi jak tamci. A to akurat by mi się podobało.

Zerknęłam na Jessikę, która oparła się o dziewczynę siedzącą obok niej. Widziałam, że jeszcze nie otrząsnęła się z emocji wzbudzonych chwilę wcześniej. Zdrajczynie.

– No, Jenny, czekamy na odpowiedź – powtórzyła Tippy. – Przyjmiesz Jezusa Chrystusa jako twego Pana i Zbawiciela?

Z chęcią bym skłamała i udzieliła takiej odpowiedzi, która zapewniłaby mi popularność, ale wiedziałam, że taka strategia może się obrócić przeciwko mnie. Obawiałam się, że Tippy

zacznie mnie wypytywać o szczegóły mojego porozumienia z Jezusem, a wtedy na pewno coś poplączę. Miałam wrażenie, że koleżanki puszczają wodze wyobraźni, opowiadając o tym, jak Jezus udziela im szczegółowych wskazówek na temat życia codziennego, ale nie miałam pojęcia, czy tego typu fantazje mają jakieś granice. Czy mogę powiedzieć, że Jezus zostawił mi notatkę? Albo nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce? Nie wiedziałam. Lepiej jednak byłoby się z tego jakoś wykręcić.

– A mogę się jeszcze zastanowić? – zapytałam niepewnie.

Jedna z dziewcząt głośno zaczerpnęła oddechu, zdumiona. Inna pokręciła głową i odwróciła głowę. Tippy nie spuszczała ze mnie wzroku. – Nigdy jeszcze nie miałam w grupie dziewczynki, która odrzuciłaby zbawienie.

Jeszcze raz próbowała mnie przekonać, zapewniając, że leży jej na sercu los mojej duszy, która miała się po wieczne czasy smażyć w ogniu piekielnym. Czułam, że na twarzy wystąpiły mi rumieńce. Było mi wstyd, ale jednocześnie czułam też coś innego: gniew. Złościłam się, bo byłam przekonana, że to opiekunka powinna się wstydzić swojego systemu wartości. Byłam dobrym człowiekiem. Tak z grubsza przynajmniej. Jasne, zdarzyło mi się kiedyś na przerwie ukradkiem wejść do klasy i wylać klej na biurko koleżanki, a później nie odezwałam się ani słowem, kiedy inny dzieciak zebrał za to burę. Ogólnie rzecz biorąc, byłam przynajmniej tak samo miła jak wszystkie inne dziewczyny siedzące przy drewnianym stole. Choć miałam zaledwie jedenaście lat, zdawałam sobie sprawę, że wiara w niewidzialne bóstwo, które wysyła miłych ludzi do piekła, nie może być powodem do dumy.

Tippy w końcu uznała, że nie mam szans na zbawienie, i oznajmiła, że czas wracać do zajęć. Na drugi dzień miała nastąpić wielka chwila Jessiki. Razem z Tippy miały zająć się tym, co konieczne do „zbawienia”, a kiedy wróciły, wszyscy wyszli na

zewnątrz, by uczcić świeżo upieczoną chrześcijankę. Ja nie ruszyłam się z łóżka.

Pościel była już zdjęta, bo nadszedł ostatni dzień obozu, więc leżałam na gołym gumowym materacu. Skrzywienie starego klimatyzatora zawieszzonego nad oknem nie zagłuszało radosnych pisków i chichotów dobiegających sprzed domku.

Do tej pory nigdy nie określałam się sama przez pryzmat własnych poglądów na temat religii. Dorastałam w przekonaniu, że fizyczny świat dookoła nas to jedyne, co istnieje, i nigdy nie przyszło mi do głowy, że takie normalne widzenie świata potrzebuje jakiejś specjalnej nazwy. Kiedy jednak słuchałam chichotów i krzyków dziewcząt dobiegających zza zamkniętych drzwi, dotarło do mnie, że moje przekonania tak bardzo różnią się od tego, w co wierzą inni ludzie, że różnicę tę odczuję w każdym aspekcie i obszarze mojego życia. Po raz pierwszy zaszukowałam się, określając się jednym słowem: *ateistka*. To pojęcie wydawało się doskonale do mnie pasować. Poczułam, że wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu i po raz pierwszy od kilku dni szeroko się uśmiechnęłam.

# 2. ♦

– Że co? Doznała zbawienia? A cóż to ma znaczyć? – rzuciła do słuchawki moja mama. Był poniedziałek. Dopiero co wróciłam z obozu do rodzinnego domu na przedmieściach Dallas. Zadzwoiła do nas mama Jessiki, by opowiedzieć moim rodzicom, co wydarzyło się na obozie. Kiedy mama odłożyła słuchawkę, zwróciła się do mnie. – Ty też to zrobiłaś?

Zamarłam, unosząc do ust kawałek gofra z syropem. Sądziłam, że mama chciałaby usłyszeć „nie”, ale nie byłam pewna. Mama potrafiła być w tych kwestiach zupełnie nieprzewidywalna. Z jednej strony nie podobało jej się, kiedy ludzie narzucali innym swoje przekonania religijne. Pochodziła z północno-wschodniej części kraju, gdzie ludzie nie mieli w zwyczaju w codziennej rozmowie proponować sobie nawzajem przyjęcia Jezusa Chrystusa jako Pana i Zbawcy. W przeciwieństwie do taty, mama nie była ateistką. Nie nazwałabym jej nawet agnostyczką. Uważała po prostu, że duchowość jest sprawą prywatną, zaś szczegóły dogmatów religijnych uznawała za nieistotne. Nie rozmawiała ze mną o religii, ale gdyby to robiła,

prawdopodobnie powiedziałyby mi, że najważniejsze jest to, by po prostu być dobrym człowiekiem. Po co odwoływać się do systemu wierzeń religijnych, skoro i bez tego wystarczy traktować innych ludzi z życzliwością i miłością?

Choć mama nie była osobą religijną i nie miała problemu z ateizmem taty, czasami zauważałam, że na swój sposób żywi szacunek do religii. Gdy do naszej szkoły zaproszono grupę chrześcijan, którzy rozdawali uczniom kieszonkowe Biblie, wzięłam jeden egzemplarz, bo myślałam, że przyda mi się na zajęcia z prac ręcznych. Po powrocie do domu wyrwałam kilka stron, powycinałam z nich malutkie gwiazdki i serduszka i poprzyklejałam je do kawałka tektury, tworząc kolaż, który teraz wisiał na ścianie w moim pokoju.

Kiedy tata zauważył moją pracę, uznał, że jest bardzo twórcza. Gdy mama weszła do mojego pokoju z koszem pełnym wypranej bielizny, krzyknęła i omal nie upuściła prania na podłogę. Popatrzyła na ścianę z przerażeniem, jak gdybym wymalowała na niej swastyki, i kategorycznie zabroniła mi niszczyć Biblię.

– To jak to w końcu było z tym zbawieniem? Czy nieprzyjęcie czyjś Boga jako Pana i Zbawcę było niekulturalne?

Nie potrafiłam wymyśleć takiego kłamstwa, które stanowiłoby dobrą odpowiedź, więc koniec końców odparłam zgodnie z prawdą:

– Nie – i czekałam na reakcję mamy.

– Dzięki Bogu – powiedziała i pokręciła głową. – Przykro mi, że tak cię naciskano. To karygodne.

Westchnęłam i na powrót zajęłam się goframi. Kiedy skończyłam śniadanie, mama wstawiła naczynia do zlewu, założyła zegarek na rękę i wyszła do gabinetu optyka, gdzie pracowała na połowę etatu jako księgowa. Pożegnałyśmy się, po czym postanowiłam zadzwonić do jednej z koleżanek zapytać, czy nie miałyby ochoty się spotkać. Zatrzymałam się jednak w pół

kroku. Wszystkie dzieci z okolicy tego popołudnia miały zajęcia w szkółce biblijnej, więc nie będą miały czasu na spotkanie. Dopiero co wróciliśmy z obozu, lecz na moje relacje z przyjaciółmi zdążył już paść cień. Wydawało się, że letni obóz umocnił każdego z nas we własnych przekonaniach: moich przyjaciół w religii chrześcijańskiej, mnie zaś w poglądach ateistycznych.

Przez wiele lat żywiłam silne podejrzenie, że wiara innych ludzi w Boga uniemożliwiła mi awans społeczny w środowisku szkoły podstawowej. Kiedy szłam do trzeciej klasy, mój tata dostał pracę jako kierownik budowy w Dallas. Wtedy byłam przekonana, że w nowym miejscu wreszcie zyskam popularność. Już widziałam jak wspólnie z koleżankami urządzamy sobie u mnie w domu piżama party, wspólnie się śmiejemy, żartujemy i rzucamy w siebie popcornem. Myślałam, że na przerwach będziemy się spotykać na korytarzu i wszystkie będziemy nosić sprane dżinsowe kurtki. Wyobrażałam sobie, że przerywamy rozmowy, kiedy przechodzą koło nas nieszczęśnicy, którym nie było dane należeć do naszego towarzystwa, żeby nikt nie podsłuchał naszych sekretów.

Rzeczywistość rozminęła się z moimi wyobrażeniami. Byłam pewna, że mój wyjątkowy wzrost nie miał z tym nic wspólnego, choć wiecznie nosiłam za krótkie spodnie, których nogawki nie zakrywały jaskraworóżowych skarpetek. Moje próby staranego natapirowania grzywki przynosiły odwrotny skutek – wyglądałam, jakbym nosiła na czole sfilcowany kawałek futerka. Mój wzrost w połączeniu z numerem buta dał mi w klasie przezwisko „Wielkiej Stopy” – po jakimś czasie okazało się, że nowi uczniowie nie wiedzą, jak się naprawdę nazywam. Mimo to jednak nie sądziłam, by to był powód, dla którego popularni uczniowie nie chcieli spędzać ze mną czasu. Miałam wrażenie, że tylko ze względu na przekonania religijne innych ludzi miałam tylu przyjaciół co kot napłakał.

Temat religii wywoływał napięcie od pierwszego dnia naszego pojawienia się w tej dzielnicy. Podeszły do nas dwie rodziny i zapytały, gdzie chodzimy do kościoła. Kiedy poszłam po raz pierwszy do nowej szkoły, to samo pytanie zadano mi aż cztery razy. Za każdym razem odpowiadałam, że „nadal szukamy”, ale sądzę, że po trzech latach ta wymówka nie brzmiała już tak wiarygodnie. Teraz, po obozie, wszelkie złudzenia zniknęły i prawda wyszła na jaw: nasza rodzina nie chodzi do kościoła. Nigdy nie chodziliśmy. Nie byliśmy chrześcijanami. Teraz nie miałam już z kim się kolegować.

Kolejne kilka tygodni spędziłam, kręcąc się beczynn timer po domu. Nieobecność przyjaciół dawała mi się we znaki – wszyscy chodzili do szkółki biblijnej. Zwykle spotykaliśmy się, gdy rodzice byli w pracy. Naszą ulubioną rozrywką było dzwonicie na numer telezakupów. Mieliśmy niezły ubaw, kiedy brat Jessiki przekonał operatorkę, żeby przełączyła go na wizję, po czym krzyknął „A teraz pierdzenie!” i natychmiast się rozłączył. Całe popołudnia tańczyliśmy w moim pokoju, wymachując rękami i rzucając rytmicznie głowami do piosenek z filmu *Dirty Dancing*. Teraz towarzystwo zamieniło dobrą zabawę na pranie mózgu w kółku biblijnym, a ja zostałam sama.

\* \* \*

Tata zapukał do drzwi mojej sypialni, choć były otwarte. Zwykle wieczorem przychodził mi poczytać. Usiadł koło mnie na łóżku i wziął do ręki leżącą na szafce nocnej książkę *Kosmos* Carla Sagana. Zaczęliśmy ją czytać, zanim wyjechałam na obóz. Podejrzewam, że ten moment nie był wybrany przypadkowo. Tata otwarł książkę, rozprostował strony, lecz zamiast zacząć czytać rozdział o tym, jak Kepler obliczał orbitę Marsa, pomilczał przez chwilę, poprawił się na łóżku i zamknął książkę.

– Chciałem z tobą o czymś porozmawiać. To ważne – powiedział.

Od razu wiedziałam, że to sprawa wielkiej wagi, bo tata był mistrzem niedopowiedzeń. Dzieciństwo spędził w meksykańskiej dżungli, gdzie razem z przyjaciółmi nosili broń podczas codziennych spacerów, obawiając się niespodziewanego spotkania z bandytami lub jaguarami, od których aż się tam roiło. Jako dorosły wstąpił do wojska, do jednostki specjalnej, gdzie pełnił funkcję instruktora do spraw materiałów wybuchowych i skoków spadochronowych, a nieco później został inżynierem. Zawsze myślał logicznie i racjonalnie, więc gdy zobaczyłam, że z troską zmarszczył czoło, od razu wiedziałam, że coś poważnie go zaniepokoiło.

– Słyszałem, że na obozie niełatwo ci było w towarzystwie religijnych dzieciaków. Czy często spotykasz się z tego rodzaju presją w szkole lub wśród przyjaciół?

– Zwykle nazywają mnie tylko czcicielką Szatana.

Tata lekko kiwnął głową. Przez chwilę milczał. – Opowiem ci coś – zaczął. Powiedział mi, co się stało z ekipą Krzysztofa Kolumba ze statku, który w 1503 roku rozbił się u wybrzeży dzisiejszej Jamajki. Tubylców męczyły ciągłe żądania Europejczyków, którzy domagali się żywności. W końcu przestali im ją dostarczać. Kolumb dostrzegł w kalendarzu, że zbliża się zaćmienie Księżyca, więc oznajmił tubylcom, że jego Bóg rozgniewał się i postanowił zakryć Księżyc krwią i zdjąć go z nieboskłonu. Kilka dni później, dokładnie wtedy, kiedy przewidział Kolumb, Księżyc zrobił się czerwony. Tubylcy nie mieli pojęcia, że Ziemia ustawiła się w linii prostej ze Słońcem i Księżycem, i to promienie słoneczne tak zabarwiły tarczę Księżyca. Następnie Ziemia przesunęła się, całkowicie blokując dostęp promieni słonecznych, a Księżyc zniknął. Całą wyspę ogarnęło istne pan-demonium; przerażeni tubylcy obiecali Kolumbowi, że dadzą



mu wszystko, czego pragnie, jeśli przebłaga swego Boga i poprosi, by zwrócił Księżyc.

– Też mi straszna historia – sarknęłam.

– Dla tubylców naprawdę była straszna! – wyjaśnił tata.

– W sumie prawda.

– O to właśnie chodzi: tubylcy nie byli głupi, po prostu nie wiedzieli tego, co wiedział Kolumb.

Tata spojrział na mnie i trącił mnie w nogę palcem wskazującym: – To, co się przydarzyło Kolumbowi, to uproszczona historia religii. Ludzie dość wcześnie zdali sobie sprawę, że jeśli wypełni się luki w wiedzy innych ludzi, powołując się na dzieło jakiegoś boga, a później powie się, że samemu jest się w bliskim kontakcie z tym bogiem, wówczas zyskuje się praktycznie nieograniczoną władzę, dopóki ludzie będą w to wierzyć.

– Uau.

Tata zastanowił się przez chwilę, po czym mówił dalej, starannie dobierając słowa, bo wiedział, że wykorzystam to, co mi powie, w trakcie najbliższej sprzeczki z moimi religijnymi przyjaciółmi.

– Wiara w bogów, anioły i tym podobne istoty jest swego rodzaju pociechą dla niektórych – mówił. – Nie obwiniam ich za to. Nie ma w tym nic złego, jeśli dzięki temu czują się lepiej. Nie podoba mi się tylko narzucanie innym tych przekonań, szczególnie jeśli tym kimś jest moje dziecko.

– Ale ja nie...

– Nie daj się na to nabrać. Nigdy nie zaczynaj w coś wierzyć tylko dlatego, że ktoś powiedział, że to prawda, nawet jeśli ja tak powiedziałem. Kwestionuj i podważaj wszystko, co słyszysz.

Czyżby mój własny ojciec uważał mnie za głupią? Musiał to wyczytać z mojej twarzy, bo żartobliwie wyrzucił w górę ramiona, niby to w obronnym geście.

- Wiem, wiem! Chciałem ci tylko powiedzieć, że kiedy będziesz starsza, sporo się zmieni. Jak będziesz dorosła, życie nie będzie już takie proste jak teraz. Sama zobaczysz, że czasami aż człowieka kusi, żeby uwierzyć w coś, dzięki czemu świat stanie się prostszy.

- Jasne - wycodziłam, chcąc mu dać do zrozumienia, że nie potrzebuję jego rad.

Tata znów otworzył *Kosmos* i cofnął się o jedną stronę, nie chcąc, by cokolwiek nam umknęło. Zaczął czytać. W jego głosie pobrzmiwał teksański akcent. Przytuliłam się do niego, oparłam się o jego ramię i słuchałam łagodnego głosu ojca, który odkrywał przede mną tajemnice wszechświata.

# 3.

Ciernie drapały mnie w kostki, gdy schowałam się pod zwisającymi nisko nad ziemią gałęziami, wdychając woń dzikiej cebuli, przebijającą się przez intensywny zapach innych roślin. Maczeta taty wydawała dźwięk niczym dzwon, gdy ojciec ciął winorośl i gałęzie drzew. Wreszcie udało nam się przebić przez gęstwinę.

Staliśmy w katedrze przyrody: gałęzie pięły się łukiem do nieba, a u naszych stop cicho szemrał potok. Sprawdziliśmy sprzęt, by upewnić się, czy mamy ze sobą dłuto i młotek. Odgarnęłam włosy z twarzy, związując je w kitkę, po czym ruszyliśmy oboje w stronę zimnego górskiego potoku niczym dawni poszukiwacze złota. W naszym przypadku jednak skarbem, który chcieliśmy znaleźć, miały być skamieliny.

Ta ziemia była w posiadaniu mojej rodziny od ponad stu lat. Przychodziłam tu, odkąd pamiętam – chyba przez całe moje jedenastoletnie życie. Za każdym razem, gdy wspólnie z rodzicami odwiedzałam dziadków w środkowym Teksasie, wybieraliśmy się na wycieczkę nad Potok – tak się u nas w rodzinie mówiło na

to miejsce. Było dla mnie czymś pewnym i niezmiennym wśród licznych przeprowadzek, które odbywaliśmy z racji częstych zmian pracy przez tatę. Tutaj zawsze miałam wrażenie, jakbym wracała do domu – ten krajobraz wnosił spokój w moje życie, bo jedyną rzeczą, jaka się tu zmieniała, był kolor liści.

Po prawej stronie widziałam lekko stromy brzeg Potoku, gdzie dawno temu siadywała moja prababka wraz z przyjaciółką: to tutaj moczyły nogi w strumieniu i godzinami rozmawiały. Po lewej stronie, nad urwiskiem, znajdował się kawałek ziemi uprawnej, którą moi przodkowie wiele lat temu ujrzeni przez szpary w płóciennym pokryciu podróznego wozu. Gdy szliśmy wzdłuż strumienia, rozpoznawałam gęste zarośla, które kiedyś już widziałam na starych, wyblakłych fotografiach.

Zwykle czułam się bezpiecznie, chłonąc atmosferę historii w tym miejscu, jak gdybym łączyła się z czymś większym niż ja sama. Tym razem było inaczej. Miałam wrażenie, że moi przodkowie opuścili to miejsce. Ogarniało mnie jakieś przerażające przecucie, które próbowałam od siebie odepchnąć – tak mocno, że co rusz gwałtownie kręciłam głową, jak gdybym chciała się opędzić od natrętnej muchy.

Woda robiła się coraz płytsza, gdy kamienisty brzeg pod naszymi stopami robił się bardziej stromy, aż w końcu wyszliśmy na brzeg. Przed nami wznosiła się nasza ulubiona skała. Milimetr po milimetrze woda przedostawała się przez jej twardą powierzchnię, przez tysiące lat odsłaniając stopniowo coraz większe fragmenty skalnej ściany.

Leżące na ziemi gałęzie trzaskały pod moimi stopami, gdy szłam w stronę skały. Spojrzałam w górę – skała była tak wysoka jak dom, lecz nie patrzyłam na nią zbyt długo; to, co dobre, zawsze znajdowało się niżej. Skała była jak oś czasu, a strumień przez całe wieki drążył swe koryto, odkrywając przed człowiekiem kolejne warstwy historii ziemi, schowane jedna pod

drugą. Tuż pod porośniętą trawą ziemią uprawną na szczycie urwiska znajdowała się warstwa ziemi, po której dawno temu stąpali konkwistadorzy. Kawałek niżej – pozostałości gleby, po której chodzili pierwsi osadnicy. Sześć stóp niżej – mniej więcej na poziomie moich oczu – warstwa sprzed dziesiątek milionów lat. To tutaj można było szukać skarbu.

Tata coś powiedział – może zażartował, kto dzisiaj znajdzie najcenniejsze skamieliny – ale go nie słuchałam. Bezkształtna ciemność, od której wcześniej chciałam się opędzić, była coraz bliżej. Za wszelką cenę pragnęłam teraz poznać jej źródło. Pochyliłam się i dotknęłam skały. Osiemdziesiąt milionów lat wcześniej to miejsce było błotnistym dnem płytkiego oceanu. Tata wyjaśniał mi kiedyś, że od tamtej pory wiele się wydarzyło: Afryka przesunęła się w inne miejsce na kuli ziemskiej, Mount Everest wypiętrzył się na płaskim podłożu, a cały ocean cofnął się, zostawiając tu suchą powierzchnię z jednym wąskim strumykiem.

Nagle coś zauważyłam: kształt średniej wielkości amonita o średnicy małego orzecha kokosowego. Wyjęłam z kieszeni dłuto i zaczęłam uderzać w miękką białą skałę dookoła skamieliny.

– Wspaniałe znalezisko! – tata przeskoczył przez kamienie, by patrzeć, jak wydobywam swój skarb. Po kilku minutach udało mi się odłupać skałę na tyle, że uwolniła mój łup. Wyjęłam niekniętą skamielinę, a w skalnej ścianie dookoła niej pojawiły się czarne pęknięcia. Skały, które przez tak długi czas więziły amonita, teraz zaczynały się kruszyć. Wyjmując skamielinę, cofałam się, a tata podłożył dłonie pod spód, by złapać fragmenty, które mogłyby się odłamać. Po chwili trzymaliśmy całego, nieuszkodzonego amonita.

– Uau. Spójrz tylko – szepnęła tata.

Oboje wpatrzyliśmy się w skamieniałą formę, podziwiając okrągłą, spiralną skorupkę, której fale rozchodziły się od

środku, zachowując idealną symetrię. To stworzenie czekało w tym miejscu tak długo, że, cząsteczka po cząsteczce, jego lśniąca skorupa zamieniła się w kamień. Kilka centymetrów pod otworem, który został w skale, znajdowała się kolejna skamielina – jedna z prostych muszelek z całkowicie innego okresu w historii ziemi, może nawet z późnej jury.

Zmierzyłam wzrokiem przestrzeń pomiędzy dwoma relikwami. Oto miliony lat skondensowane do kilku centymetrów. Gdy tak patrzyłam na skalną ścianę, w której kryły się oba znaleziska, zrozumiałam, że tysiąc lat to nic, a życie ludzkie trwa tak krótko, że nie warto o nim w ogóle wspominać.

Serce zaczęło mi bić coraz szybciej. Zrobiłam krok w tył i cofając się, dotarłam na brzeg strumyka. Skamielina, którą trzymałam, zrobiła się nagle niezwykle ciężka, więc upuściłam ją i usiadłam na brzegu. Tata na powrót zajął się szukaniem skarbów, a odgłosy dłuta uderzającego o powierzchnię skały wkrótce utonęły w szumie moich myśli. Furtka, która powstrzymywała mnie przed poznaniem natury mrocznego przecucia, teraz otworzyła się z trzaskiem, wpuszczając do mojego umysłu całkiem nowy nurt świadomości. Spojrzałam na amonita leżącego między moimi stopami w przemoczonych tenisówkach i dotarło do mnie po raz pierwszy, że mój los wcale nie różni się od tego, co spotkało tę skamielinę.

Zawsze sądziłam, że te stworzenia były całkowicie różne ode mnie. Były martwe, a ja żywa, i tak miało być już zawsze. Teraz zastanawiałam się, dlaczego wcześniej nie rozumiałam, że patrząc na te od dawna nieżywe stworzenia, przyglądam się niczym w kryształowej kuli temu, co czeka mnie samą w przyszłości – z tym że ja pewnie nie skończę jako skamielina, chyba że utonę w błocie. Za dziesięć milionów lat nic po mnie nie zostanie.

Spojrzałam na tatę, który odwrócił się i uśmiechnął do mnie. Z entuzjazmem wskazał na skałę, żartując, że znalazł jeszcze

lepszy okaz. *Z nim też tak będzie?!* pomyślałam. Chyba jest za silny, by umrzeć? Jest przecież ciekawym, pełnym życia człowiekiem – z pewnością czeka go inny los niż mięczaki, które uwięzły w skalnej ścianie? Bez niego ten świat nie może istnieć.

– Wszystko w porządku? – głos taty na moment wyrwał mnie z zadumy.

– Tak, jasne. Tak sobie myślałam tylko – wstałam, wciągając nosem wilgotną woń strumienia, którą zdążyły przesiąknąć moje ubrania.

– To zdumiewające, prawda? Za każdym razem, kiedy tu przychodzimy, nie mogę uwierzyć, jakie to wspaniałe, że możemy tu być – powiedział, z trudem łapiąc oddech, jak gdyby Potok był ósmym cudem świata.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu, co mnie trapi, ale uznałam, że to bezcelowe. Albo nie zdawał sobie z tego sprawy, a w tym wypadku nie byłoby sensu niszczyć jego złudzeń, albo wiedział o tym doskonale, a wówczas tym bardziej nie było o czym mówić. Bo co można powiedzieć, gdy jest piękny dzień, a ktoś obok zaczyna opowiadać o tym, że wszyscy umrzemy?

Siłą woli wyrwałam się z zadumy i wróciłam do rzeczywistości. Zebrałam wszystkie myśli, które nie dawały mi spokoju, i odepchnęłam je od siebie, jak wtedy, kiedy nie chce mi się sprzątać pokoju i wciskam wszystkie rzeczy do szafy, opierając się następnie o drzwi, by je domknąć. Przeszliśmy strumieniem w inne miejsce, jakieś trzydzieści metrów dalej, ale tam już nic nie znaleźliśmy. W drodze powrotnej przystanęliśmy jeszcze na brzegu, by zabrać amonita, którego tam zostawiłam, po czym wróciliśmy do samochodu.

– Chcesz poprowadzić? – zapytał tata, kiedy dotarliśmy do naszego samochodu terenowego – niebiesko-białego forda z roku 1978. Auto przypominało czołg; zawsze pożyczaliśmy je od dziadka, kiedy tu przyjeżdżaliśmy. Jako że terenówka

wytrzymywała właściwie wszystko, a na terenie posiadłości nie było nic, co można by zniszczyć, zwykle tata pozwalał mi poprowadzić samochód poza drogą główną.

Siadłam za kierownicą. Byłam po marszu w strumieniu cała przemoczona, więc wygrzane słońcem obciążnięte skajem siedzenia stały się miłą odmianą. Jak na swoje jedenaście lat byłam dość wysoka, więc z łatwością dosięgałam do pedałów. Zaczęłam ruszać do przodu – patrzyłam na wskazanie skrzyni biegów, czekając, aż biała linia przesunie się nad D, gdy pociągnęłam za dźwignię kolumny kierownicy, po czym ostrożnie zdjęłam lewą stopę z hamulca, prawą ustawiłam na pedale gazu i po chwili poczułam, że samochód ruszył z miejsca.

Jechaliśmy wyboistą drogą, mijając po drodze drzewa rosnące na brzegu strumienia. Przed samochodem skakały koniki polne, niczym podskakujące na patelni ziarenka popcornu. W ogrodzeniu, które dzieliło las od pola, była wąska wyrwa; za każdym razem musiałam się skupić, by wycelować terenówką w tę właśnie dziurę. Wpatrywałam się w ten wyjazd tak intensywnie, że dopiero w ostatniej chwili zauważyłam, że na drodze coś się rusza. Było tak blisko, że lada moment zniknęłoby pod maską terenówki. To był gruby, czarny wąż – wił się na drodze tuż przed nami. Gwałtownie nacisnęłam hamulec lewą stopą, nie zastanawiając się nawet, czy koniecznie trzeba było deptać po nim tak mocno. Razem z tatą podskoczyliśmy na siedzeniach, upadając na deskę rozdzielczą, a maczeta wyleciała w powietrze i wylądowała na podłodze samochodu. Wąż oddalił się szybkim ruchem, znikając za kaktusem, wijąc się gwałtownie, jak gdyby zdenerwowała go obecność samochodu na drodze.

Po chwili milczenia oboje z tatą wybuchnęliśmy śmiechem. Śmiejąc się, poczułam przemożną, wszechogarniającą radość. Myśli, które przed chwilą mnie trapiły, wydawały się teraz tak dalekie, że w zasadzie przestały dla mnie istnieć. Przez kilka



chwil cieszyłam się tylko, że siedzę za kółkiem dużego samochodu, a obok mnie jest tata.

Nacisnęłam ostrożnie pedał gazu i przejechałam terenówką przez wąską przerwę w ogrodzeniu. Gdy zbliżaliśmy się do głównej drogi, beztroskie uczucie zapomnienia zaczęło nieco słabnąć. Kiedy przesiadłam się na miejsce pasażera, niepokojące myśli znów powróciły.

Po dotarciu do domu dziadków musieliśmy szybko się pakować, bo czekała nas jeszcze trzygodzinna droga do Dallas, a rodzice nie chcieli wracać zbyt późno. Przebrałam się w suche ubrania i zaczęłam wrzucać do plecaka komiksy z Garfieldem i kolorowanki, a z każdym ruchem czułam tę samą przytłaczającą świadomość, która towarzyszyła mi nad Potokiem.

Po obiedzie, który zjedliśmy na zewnątrz, przy grillu – a właściwie pozostali zjedli, bo ja ledwie tknęłam, gdyż z nerwów zrobiło mi się niedobrze – pożegnaliśmy się z dziadkami i wsiedliśmy do naszego oldsmobile'a. Kiedy wyjeżdżaliśmy sprzed domu dziadków, w świetle reflektorów zobaczyłam jeszcze zaparkowaną terenówkę.

Nie było rozwiązania problemu, który mnie dręczył. Na dobrą sprawę to wcale nie był problem, tylko nowe spojrzenie na rzeczywistość. Zerkając jednak po raz ostatni na samochód dziadka, zanim zniknął mi z oczu, miałam przeczucie, że odpowiedzi powinienam szukać w tym krótkim przebłyску radości, jakiego doświadczyłam, siedząc za kierownicą. Mroczna prawda, którą odkryłam, nie zniknęła, ale w obliczu beztroskiej zabawy wydawała się nieco mniej istotna. Zaczynałam się martwić, że te przygnębiające uczucia będą mi towarzyszyć przez całe życie, w każdej sekundzie, ale teraz czułam, że jest jakiś promyk nadziei. Jeśli zgromadzę więcej takich doświadczeń, może częściej poczuje ulgę. Nie było to ostateczne rozwiązanie problemu, ale pogoń za chwilami szczęścia mogła być jedynym wyjściem w tej sytuacji.